ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok VI. Warszawa, dnia 6 czerwca 1914 roku № 23.

Andrzej Strug.

22

„Pieniądz".

Wszelkie prawa autorskie i wydawców zastrzeżone.

Powieść z obcego życia.

Lady Hartley, wraz z Mariette, usiłowały oddawna przedostać się na tamtą stronę ku ulicy de la Paix. Zapędzały się i wracały ze środka ulicy, uciekając przed samochodami. Bawiło je to i gniewało. Wreszcie jakiś szanowny jegomość ujął jedną i drugą bez ceremonii pod ręce i przeprowadził przemocą.

Były nieco oszołomione tą grzeczną napaścią, ale nieznajomy nie wyglądał bynajmniej na bulwarowego amatora przygód.

— Dziękujemy panu...

— O, nie! Jeszcze musimy na tamtą stronę!

— Już my same. Dziękujemy bardzo...

I zniknęły w wylocie ulicy. Lady Hartley prowadziła Mariette do krawca dla obejrzenia jedynej w swoim rodzaju szaty domowej, fantastycznej, napoły greckiej, napoły teatralnej, niezmiernie wyrafinowanej i kosztownej. Wzór dał znakomity malarz, który zastosował całość do urody Mariette i — do jej roli, którą odgadł bez trudu.

Szły dalej do jedynego na świecie genialnego artysty - szewca na placu Vendôme po antyczne sandałki, które Mariette miała nosić na podomu na bosą nóżkę.

Lady Hartley zachwycała się modelem, t. zw. „moderne-antique"— osadzonym na niezmiernie wysokim inkrustowanym obcasie.

Napadła ją namiętna żądza strojenia Mariette. Dnie całe spędzały na sprawunkach. Za to sama zaczęła się ubierać aż do przesady skromnie, nieco z męska.

Nieznajomy, szanowny jegomość spoglądał przez chwilę za oddalającemi się paniami i rzekł do stojącego tuż, znacznie młodszego od siebie dżentelmena:

— Chciałem się raz zblizka przyjrzeć dziewczynie... Oko w oko... Zanim z nią będę gadał.

— No, i co? Jak uważasz?

— To uważam, co uważałem odrazu, jak mi ją pokazano po raz pierwszy. To nie awanturnica a człowiek solidny. Nic z nią nie zrobisz za tanie pieniądze.

— Tanie pieniądze!

— Tu muszę wyłożyć miliony. Dwa, trzy... Będę się, rzecz prosta, targował...

— Dajno spokój, stary, bo nas amerykanie przepędzą precz, a wezmą sobie kogo innego. Wracajmy lepiej do mojego: podstawić babie kogoś jeszcze lepszego od hrabianki. Jak pannica poczuje, że źle — zgodzi się na wszystko i sprawę ubijemy i prędko i najformalniej.

— Na to brak nam czasu. Za rok, owszem, zażąda się jej czego innego, ale narazie zupełnie opętana. A tu się każą spieszyć! Specyalne premia za każdy tydzień przed kwietniem! I woleliby mieć skonstatowanie w Paryżu, dlaczego, nie wiem...

— Inne prawa. Testament mówi tylko tyle: „jeżeli pozostanie wierną aż do śmierci". W Ameryce może się na pewnych niewiernościach niebardzo znają. Przecie to chamy... Każą nam przepłacać i badać po kolei całą służbę. Idyotyzm! To do niczego nie doprowadzi. Wszyscy naokoło wiedzą, baba się zdradza i afiszuje na każdym kroku. A nic jej nie zrobią, dopóki nie wkroczą urzędownie w momencie najściślej właściwym. Cała nadzieja w hrabiance.

— A jeżeli i ona się rozszalała?

— A dwa miliony?

— A jeżeli zupełnie straciła głowę?

— Trzy miliony... Mój drogi, nie bądź głupi. Wszystko jest do kupienia. I anioł i dyabeł, każdy rozum i każdy obłęd — pozostaje kwestya ceny...

— Kiedy myślisz zaczynać?

— W tych dniach powinienem mieć telegram z upoważnieniem. A dziś Dambriers zapozna mnie ze starym hrabią Colardeau. Idzie o pierwsze spotkanie z tem czarnem dyablęciem...

— Nie zakochaj się, stary, przy tem pierwszem spotkaniu! Bo powiem żonie...

— Wiesz, że nie znoszę, kiedy do rozmowy o świństwach mieszasz...

— Co za delikatność!

— To swoją drogą, a to swoją. Nie jestem szubrawcem, tylko dyrektorem poważnej agencyi. Za trzy grosze niema w tobie stylu!

W Café de Paris w trzecim salonie urzędował baron Dambriers. Ze skupieniem na czole, z niezmiernem uszanowaniem w pochyleniu całej postaci słuchał, co mówił do niego półgłosem człowiek młody jeszcze, ale o niezmiernie zszarzanej twarzy.

Dambriers z przenikliwością sędziego, z powagą spowiednika zazierał w tę twarz. Ale młody człowiek miał oczy uparcie spuszczone, prawie zawarte. Patrzył na swoje białe, wypieszczone ręce, złożone na stole. Palce biegały mu niespokojnie.

— ...Jeżeli panu powiedziałem zaraz na samym początku, że zaznałem już w życiu „wszystkiego", to sądzę, że pan, człowiek o tak rozległem doświadczeniu, będzie wiedział, co mi pozostaje...

Utknął i milczał. Dambriers czekał, nie odrywając od niego oczu. Klient zaciekawiał go niezmiernie. Z tego, co o nim wiedział, z tego, co od niego samego usłyszał, wyczuwał coś niesłychanego, jakąś rzadką nawet w jego bezecnej praktyce, potworność.

Na jego mądrej, rasowej twarzy odbijała się wytężona praca myśli. Usiłował obliczyć w przybliżeniu jakiś fantastyczny, nieprawdopodobny zarobek, przebiegały mu w myśli cyfry waryackie. Chwytał go strach.

jakaś instynktowna, jak u węża, ostrożność nakazywała mu wycofać się natychmiast, zanim padnie wyraźniejsze słowo.

Na płycie marmurowego stolika czerniły się pewne nieubłagane paragrafy kodeksu karnego, tuż obok — niewiarogodne cyfry. Kiedy odpędzał jedno i drugie, jakaś namiętna ciekawość pchała go do wydobycia z tego człowieka wszystkiego, co się w nim taiło. Jakgdyby w długiem życiu, spędzonem na usługach podłości, dopiero teraz uczuł się śmiertelnie znużonym pospolitością i nudą bezeceństwa i jakgdyby sam dla siebie zapragnął czegoś niesłychanego. Obojętny i stępiały już na wszystko ocknął się i żgnęła go szatańska pokusa. Stał się na chwilę podobnym do waryackich swoich klientów. Na chwilę stracił równowagę swojej filozofii i sam osunął się w bezdeń, na której krawędzi trzymał się aż dotychczas, patrząc ze spokojną pogardą na ludzi, co tam przy jego pomocy pchali się i ginęli. Na chwilę stał się nieomal bezinteresownym.

Długo milczeli obadwaj. Nagle klient podniósł głowę i spojrzał mu po raz pierwszy prosto w oczy. Dambriers, wytrawny aktor życia, gotowy na wszelką najwymyślniejszą podłość, drgnął z przerażenia. Uląkł się zbrodni.

Z zimnych, przenikliwych, jasnych oczu patrzała w niego zbrodnia. Jej pragnienie było przytomne, trzeźwe, piekielnie rozumne.

Nie z obłędu! Nie podobnego do zatrucia umysłu przez pijaństwo lub inny nałóg. Ten człowiek oddawna już rozważył wszystko, pozwolił sobie na wszystko i wiedział, czego chce.

Nie spuszczali z siebie oczu. Wreszcie głosem pewnym siebie, przyciszonym ale wyraźnym klient zapytał:

— Nie? Jeszcze pan nie rozumie?

— Mów pan wszystko. Mów prosto i szczerze. Inaczej nie można. Zupełnie nie można!

— Dobrze.

I spojrzał na garsona, który stał w progu salki. To spojrzenie porwało człowieka i w mgnieniu oka poniosło, jak wiatr. Stał pochylony, w postawie łaszącego się psa, jakgdyby przerażony nieprawdopodobnem zjawiskiem. W nieprzytomnej z uwielbienia twarzy starego wygi wyczytał Dambriers waryackie napiwki, które tu musiał rzucać jego klient.

— Mokka, cygaro... Jestem dziś wyjątkowo zdenerwowany. Ah, nie myśl pan, że się tu czegokolwiek przed tobą wstydzę.

— Ależ—obaj jesteśmy dorośli!

Dambriers odzyskał swój swobodny ton i dobroduszny uśmiech.

— Ale nie mogę dziś mówić. Pomóż mi pan! Pytaj, o co chcesz. Będę odpowiadał. Tak nam łatwiej pójdzie...

Dambriers przysunął się nieco i, patrząc w gazetę, rozłożoną na stole, pytał od niechcenia, delikatnie, jak matka, a zarazem bezczelnie, jak łotr łotra, jak pyta swój swego.

Tamten odpowiadał bez namysłu, bez wahania, natychmiast. Wreszcie Dambriers długo patrzył w swoją gazetę, jakgdyby tam szukał czegoś, co mu było w tej chwili potrzebne. Znalazłszy, spytał już szeptem. Odpowiedziano mu szeptem.

Wówczas zawyrokował głosem stanowczym i urzędowym:

— Dosyć. Ani słowa więcej w tem miejscu! Spraw takiej wagi nie załatwia się po kawiarniach.

— Masz pan najzupełniejszą racyę. Ufam ci. Idziemy do mnie.

— Nie. Idziemy tam, gdzie pana zaprowadzę.

Młody człowiek wyjął bilet tysiącfrankowy i położył na stole.

Dambriers skrzywił się.

— Trudno! Ten drab już to zobaczył. Ale nie uczyni pan ani razu nic podobnego aż do czasu — zanim... To nadaje rozgłos! To bardzo niebezpieczne i nierozumne, jeżeli ktoś zamierza... I bardzo niepraktyczne! — zaśmiał się już ze swobodą. Jakąż cenę ja mam postawić, ja, który widzę takie, daruj pan, nonsensy...

— Ach, nie! Ale, doprawdy, jestem dziś niemożebnie zdenerwowany. — Wszystko jedno! Pieniądze czasami dziwnie mnie drażnią. A pan — pan możesz sobie żądać, ile ci się spodoba...

Dambriers pochylił głowę, jak przed monarchą. Za chwilę zmieszali się z tłumem na Avenue de l'Opéra.

Był to tłum wartki i ruchliwy, spieszący się kędyś w różne strony, a jednak, wśród tego zgiełku i skrętu miało się wrażenie, jakgdyby wszyscy udawali ieno, że gdzieś idą, a właściwie deptali na miejscu.

Przeważali spacerowicze, flaneur'zy, ludzie, włóczący się po mieście bez celu. Gromady ich snuły się i mijały się wszędzie. Każdy, jak umiał, torował sobie drogę wśród zbitego, wracego tłumu i pozostawał samotny. Gapił się każdy na wystawy sklepowe, oglądał się za kobietami, zawadzał innym, uciekał przed samochodami na skrzyżowaniach ulic, kupował gazety, opędzał się przed kamelotami, bawił się przechodniami podobnymi sobie, wysiadywał w gromadzie innych na tarasach kawiarni, ciągnących się bez przerwy po obu stronach ulicy. Każdy zawracał, zbaczał, przystawał co chwila, przechodził na inną stronę, znikał w bocznych, ciemnawych ulicach i wynurzał się gdzieś znowu.

Było w tem rojeniu się tłumu coś niepokojącego. Gorączka nieokreślonego pragnienia, bezcelowe szukanie kogoś, czegoś. Bił od ulicy oddech tysiąca żądz.

Kreślił za sobą każdy zawiła, zygzakowatą linię swojej drogi, splątaną i pokrętną, jak jego myśli. Każdego pchało coś, zatrzymywało i ciągnęło dalej. Ktoś nań zawoła z obcego tłumu, w nieznajomej twarzy, jednej z tysiąca, dostrzeże wyraz dziwny, niesłychanie bliski i znajomy — jakby koło niego przeszedł drugi on. Przez chwilę będzie o tem myślał bezładnie.

Olśni go i przeszyje bolesnym dreszczem zachwytu przecud-kobiety, która przemknie się i zniknie nazawsze. W ciągu jednej sekundy przeżyje odmęt i bezmiar rozkoszy, rozpaczy. Obrzydnie mu wszystko, co kiedy miał, zażąda niepodobieństwa. Przeklnie swój los spokojny czy opłakany i za chwilę roześmieje się z tego. Wyda mu się wszystko dziwne, wszystko śmieszne i niepotrzebne. Będzie o tem myślał urywkowo, od niechcenia a wyłącznie, każdy inaczej: mądry mądrze, głupi — po swojemu.

Zapalały się oczy kobiet, patrzących przez grubą szybę na wystawione klejnoty. Poiły się i truły się ich czarem wierne żony, niewinne panny, kobiety uliczne, wszystkie. Odchodziły nareszcie ze zdawkowem westchnieniem, z gorzkim uśmiechem, z rozpaczą, z nowem, niespodziewanem postanowieniem, które się urodziło przed chwilą z blasku drogich kamieni.

Stary markiz de Chappedelaine z synem wychodzili od jubilera przy ulicy de la Paix, żegnani nizkim ukłonem pryncypała, który ich odprowadził do progu i osobiście zamknął za nimi drzwi. Jednak, zamknąwszy drzwi, uśmiechnął się ironicznie.

Markiz był strapiony. Odprawił do domu samochód i, wsparty na ramieniu Gustawa, stał bezradnie na brzegu chodnika, patrząc osowiałemi oczyma na mknącą ulicą rzekę pojazdów.

— Przejdziemy się trochę. Może Bóg ześle jaką myśl szczęśliwą.

— O, drogi ojcze... Najszczęśliwsza myśl musi też coś kosztować.

— Synu! Synu! Nigdy nie byłem i nigdy nie potrzebowałem być skąpy. Ale brzydzę się szaleństwem...

— Ależ papo! Chodzimy od czterech godzin i nic! Wszystko dla nas zadrogie. Takie już dziady z de Chappedelaine'ów...

— Gustawie, szczęście zamąciło ci w głowie.

— O, szczęście... Powiem, jak ten zbój Korsykanin,—szczęście, ale ja jeden tylko wiem, ile mnie ono kosztowało! I dodam — ile będzie nadal kosztowało — przez całe życie!... Wszystko poświęciłem dla przyszłości rodu!

— Nie grzesz! Nie uwłaczaj tak szanownej osobie, jak miss Lucy. Jej maniery są jeszcze nadto amerykańskie, ale serce złote, zdrowie piękne... Reszta należy do ciebie. Rychło uczynisz z niej damę, godną naszej sfery. Miłość czyni cuda...

— Miłość... Niewiele sobie robię z tego wielkiego słowa, ale zawsze, drogi papo, nie wspominajmy tutaj o

miłości... Powróćmy do naszej sprawy.

Sprawa była ciężka. Za parę dni miały się odbyć zaręczyny z niezmierną, godną wydarzenia pompą, przy udziale rodzin i przyjaciół obojga młodych. Uroczystość, o której pisma zapowiadały już cuda, połączona była z przedstawieniem, na którem produkować się miały najpierwsze siły dramatyczne, ze świetnym balem, z bajeczną ucztą, ze zwykłym, ale tym razem jeszcze kilkakroć pomnożonym Slazengerowskim przepychem.

Był to cios dla starej Francyi. Krewni i przyjaciele domu de Chappedelaine'ów byli w popłochu. Należało sadzić się na podarunki zaręczynowe. Trzeba było okazać bogactwo, kulturę i godność arystokracyi francuskiej...

Nikt się nie łudził, że zaimponuje, albo dorówna amerykanom. Szło o uratowanie tego, co się dawało jeszcze uratować w podobnych okolicznościach. W wielu domach biedzono się już jedynie nad tem, żeby się nie zanadto skompromitować. Już jeden ze stryjów, już dwie ciotki przezornie zachorowały. Jedna z nich nawet nieomal poważnie.

Gustaw był naprawdę nieszczęśliwy. Ojciec uparł się i ani grosza nie chciał postąpić poza pewną, bardzo poważną, ale w danym razie zupełnie śmieszną kwotą, przeznaczoną na podarunki od narzeczonego i rodziców. Od paru dni jeździli po mieście i szukali.

W marcu w Ameryce miał się odbyć ślub — aż do tego czasu należało dociągać się do skali życia tych barbarzyńców, którzy zdawali się już zupełnie zatracić wszelkie pojęcie o wartości pieniędzy. Stary margrabia po raz pierwszy w życiu wyjął z banku pewien znaczny depozyt. A chociaż wiedział, że wróci mu się to tysiąckrotnie, cierpiał i wyrzekał. Ogrom szczęścia przywalił go, chwilami markiz odzywał się zupełnie bez sensu. Rozprawiał o rozpoczynającem się „zdobywaniu" Ameryki na rzecz starej Francyi, przebąkiwał, dosyć zresztą dwuznacznie, o historycznem prawie de Chappedelaine'ów do tronu. Znoszono to z pobłażaniem, ale kiedy pewnego razu w gronie ludzi blizkich zaczął zupełnie niespodziewanie unosić się nad urodą przyszłej synowej, ciotka Hortensya, oburzona, przezwała go „przekupioną duszą".

Gustaw był jeszcze zupełnie oszołomiony swojem powodzeniem. Dotychczas, przez całe dwa tygodnie — nie mógł zrozumieć, dlaczego panna przyjęła go, a nawet niejako oświadczyła mu się pierwsza, i to w parę dni po głośnem w świecie odrzuceniu oświadczyn włoskiego arcyksięcia. Coprawda, stary margrabia twierdził, że karyera domu sabaudzkiego jest historycznem nieporozumieniem i że ród ów nie może się równać z dostojeństwem i starożytnością de Chappedelaine'ów. Ale Gustaw wiedział swoje.

Było w tem, oczywiście, zaszczytne wyróżnienie, ale więcej było poniżenia. Wyglądało to tak, jakby szalona i samowolna panna...

Wszystko to jednak pokrywała głęboka tajemnica. Przy ludziach miss Lucy była z nim zupełnie poprawną, w blizkiem kółku, wobec rodziców nawet bardzo łaskawą. Za to w godzinach, kiedy pozostawiano młodym pewną swobodę, zdumiewała go swoją brutalnością.

Pierwsze słodkie samnasam, które Gustaw pragnął koniecznie wykorzystać w strachu przed arcyksięciem, odurzyło go i zostawiło pod wrażeniem ciężkiego, nieprawdopodobnego snu.

Skądże mógł wiedzieć, co się działo w duszy jego narzeczonej?

Wszyscy zauważyli, że miss Slazenger od czasu przyjazdu do Paryża zmieniła się bardzo. Dla otoczenia stała się jakąś dziwną, ale jej dziwy prawdziwe były wiadome tylko jej jednej.

Dyabeł brzydoty nie opuszczał jej w mieście, gdzie, jak wmówiono w cały świat, kobiety są najpiękniejsze i najbardziej ubóstwiane.

Nieszczęsne zwierciadło Lucy stało wiecznie przed jej oczyma. Nadomiar złego, tutaj dopiero po raz pierwszy w życiu ocknęła się w niej kobieta.

W Paryżu była już parokrotnie i spędzała tam po parę miesięcy. Ale dopiero tym razem dotknął ją niepokojący, gorączkowy oddech tego miejsca, jego tajemny, niewidzialny, a wciskający się wszędzie urok. Doszło do Lucy szeptanie pokusy.

DCN.

JÓZEF RELIDZYŃSKI.

Do pięknej nieznajomej.

Nie wiem, kim jesteś, piękna nieznajoma,
ani, jak imię twoje i nazwisko?
gdy patrzę na cię, obcą mi oskoma

poznania ciebie i spojrzenia blizko
w twe niezgłębione, morskie, zmienne oczy —
obce pragnienie ust twych, które ślizką,

by krew, purpurą wabią; jak uroczy
owoc granatu, obiecują chwilę
przesłodką temu, co w nim wargi zbroczy...

Czasami tylko, gdy, smutny, pochylę
głowę, twój obraz nagle mnie omota
czarem tęczowym, jak skrzydła motyle.

Budzi się wówczas na chwilę tęsknota
za głosem twoim, który by padł w ciszę
samotną, niby harfy gama złota.

I żal na chwilę serce rozkołysze,
że nie mnie kwitną słodkie twoje usta,
że nigdy szeptu twego nie usłyszę —

że na pierś moją, co, jak muszla pusta,
jeno żałosnem echem jakiemś szemrze,
nie padnie włosów twoich wonna chusta.

Lecz żal, tęsknota pierzcha wraz, bo czemże
bywa marzenie, gdy, zatrute strzałą
rzeczywistości, jak ptak zranion, zemrze...

Chwil przemarzyłem o tobie niemało,
śniąc ciebie jasnym i słonecznym duchem,
gdy w zachwyceniu serce, jak kwiat, drżało —

a możeś tylko z porcelany kruchem
cackiem, kukiełką barwną i powiewną?
możeś łachmanem tylko i okruchem?

Z baśni cię cudną wyśniłem królewną
i otoczyłem cię przedziwnym dworem —
choć zwykłą z życia mieszczką jesteś pewno!

Więc trwaj marzeniem w sercu mojem chorem—
różne nam drogi... nie tobie za światem
gdzieś Rezygnacyi wędrować ugorem!

Pozostań dla mnie wspomnieniem skrzydlatem
dni, zatopionych niepamięci Letą;
pozostań dla mnie obcym, pięknym kwiatem —

miast mnie przekonać, żeś tylko... kobietą!

Dana od Boga.

Przekład z angielskiego H. J. P.

Powieść w 3-ch tomach.

— A jestżeś pewnym, mylordzie, — rzekł znów Ojciec Dan — że niema tu już kogoś takiego, który bruździ pomiędzy tobą a twoją żoną?

I ten pocisk trafił w sedno. Mąż mój spojrzał na mnie zaiskrzonym wzrokiem i rzekł:

— O! domyślałem się tego! Nasłano tu księdza, byś pomagał mojej żonie jątrzyć jej urojone krzywdy. Gdybym pozwolił, to niezadługo ksiądz byś się tu zagospodarował i wydawał rozkazy, jak u siebie. Ale nic z tego. Jeżeli Wasza Wielebność ma jaki szacunek dla swojej penitentki, proszę ją zostawić pod moją, mężowską opieką.

Widziałam, że gniew wzbiera w Ojcu Danie; on jednak zdusił go i rzekł:

— To wystarcza, mylordzie. Żaden prawdziwy ksiądz nie stanie nigdy pomiędzy mężem i żoną. Jego posłannictwem jest ludzi łączyć, a nie dzielić. A co się tyczy tego drogiego dziecka, które pokochałem, odkad przyszło na świat, a nigdy tak głęboko, jak w tej chwili, to nie będę się uczył moich obowiązków względem niej od kogoś, kto dba o nią tyle, co o wyciśniętą cytrynę. Odejdę, mylordzie, — dodał staruszek, prostując się, jak zraniony lew, — lecz nie pod twoją opieką ją zostawię, jeno polecę ją Świętej Bożej miłości i woli.

Mąż mój nie dosłuchał tych słów i wyszedł, trzaskając drzwiami, lecz myślę, że dosięgły go one bodaj na schodach.

W trakcie tej upokarzającej sceny dławiłam się od wstydu i miałam tak zesznurowane gardło, że, nie mogąc wykrztusić słowa, ucałowałam tylko kilkakrotnie rękę Ojca Dana.

Tymczasem, zwabiona podniesionym głosem mego męża, gromada służby zebrała się na korytarzu, z gospodynią na czele, piastującą torbę Ojca Dana, którą mu oddała, gdy koło niej przechodził.

Poczem weszła do mego pokoju z oczyma błyszczącemi zwycięską złośliwością i rzekła:

— Wasza lordowska mość byłaby lepiej słuchała takich, którzy wiedzą, jak trawa rośnie.

Byłam zbyt zmiażdżona tą okrutną przymówką, by zdobyć się na jakąś odpowiedź, ale Price wyręczyła mnie z nawiązką:

— Niech ci, co wiedzą, jak trawa rośnie, wynoszą się w tej chwili z pokoju, — rzekła — bo inaczej dowiedzą się, gdzie pieprz rośnie, aż im świeczki w oczach staną.

Tego wieczora, podczas, gdy Price rozczesywała mi włosy na noc, myślałam o Jurku, pytając sama siebie, czy zaiste kielich mój nie przepełnił się już i czy mogę dłużej znosić to wszystko; ona zaś rzekła:

— Gdybym była damą i miała niedobrego męża, poszłabym z nim do rozwodu i wzięłabym sobie lepszego.

Było to do takiego stopnia ujęcie w brutalny trochę sposób myśli, snującej się po moim umęczonym mózgu, że wpadłam na Price, jak furya, pytając ją, jak śmie mówić mi coś podobnego i, rozkazując jej wynosić się na cztery wiatry. Lecz zaledwie wyszła z pokoju, z trudem powstrzymałam się, by jej nie przywołać z powrotem, taka mnie zdjęła obawa, by nie chwyciła mnie za słowo, bo wtedy straciłabym ostatnią życzliwą istotę pod tym niby moim dachem.

Rozdział L.

W parę dni potem zjechali się goście. Było tego ze dwadzieścia osób, nie licząc lokai i pokojówek, tak że Zamek Raa, pomimo swej obszerności, był przepełniony.

Wszyscy ci panowie i panie należeli do sfery arystokratycznej, wyjąwszy piękną eks-tancerkę Kamillę, żonę p. Eastcliffe'a, i matkę Almy, która, ku wielkiemu niezadowoleniu tej ostatniej, zaprosiła się sama.

Na żądanie mego męża czyniłam honory domu, aczkolwiek byłam tylko nominalną gospodynią, o czem goście ci wiedzieli dobrze i zachowywali się odpowiednio, zwłaszcza kobiety. Wstyd mi, doprawdy, wspominać o tych zatrutych szpileczkach, jakich mi nie szczędziły, odwołując się do Almy w mojej obecności, aby mi pokazać, że jestem niczem w domu mego męża.

Wiem, że w sferze tej znajdują się jednostki, będące chlubą i prawdziwą arystokracyą kraju: kobiety, oddane domowi i dzieciom, i mężczyźni, poświęcający bogactwa swoje i siły dla publicznego dobra, lecz goście mojego męża nie mieli nic wspólnego z ludźmi tego pokroju.

Byli to wszystko próżni, zarozumiali egoiści, nawskroś nieszczerzy, zdumiewająco źle wychowani, ograniczeni (mówiący kilkoma językami, ale niezdolni zdobyć się w żadnym na jedno rozumne słowo), żyjący bez religii, bez zasad, bez żadnej zgoła etyki.

Jak się zachowywali na polowaniach, na spacerach konnych i pieszych, na wycieczkach samochodami i yachtem (pan Eastcliff bowiem przybył na własnym yachcie, który stał na kotwicy w porcie), tego nie wiem, bo z „polecenia doktora", jak o tem wciąż opowiadała Alma, nie brałam udziału w tych rozrywkach.

Wieczorem za to grywali w bridża, brzdąkali na fortepianie, tańczyli różne ekscentryczne tańce i śpiewali duety z modnych operetek, łamiąc swe puste głowy nad coraz nowemi sposobami zwalczania jedynego wroga ich egzystencyi, to jest czasu.

Nieraz urządzali przyjęcia na cześć swoich psów, których każdy przywiózł ze sobą całą sforę. Ubierano te zwierzęta w atłasowe czapraczki i wprowadzano do salonu, gdzie wyżełek Almy i jamnik mego męża pełnili wrzekomo obowiązki gospodarstwa.

Rozmowy przy stole toczyły się tu przeważnie na temat psów i koni, czasem jednak poruszano kwestyę miłości i małżeństwa, natrząsając się z „przestarzałych zapatrywań" na wiarołomstwo.

Mąż mój zagajał ten przedmiot, mówiąc w mojej obecności, że niegdyś mężczyźni brali sobie żony na próbę na rok i dzień jeden, i że „w zastosowaniu do pewnych kobiet był to bardzo mądry obyczaj".

Pan Vivian przytakiwał ze śmiechem i twierdził, że, „na Jowisza, jeżeli ożeni się kiedykolwiek, to tylko w ten sposób". Pan Eastcliff ze swojej strony dowodził, iż nie mogło być nic śmieszniejszego nad żonę, wyobrażającą sobie, że będzie mieć męża tylko dla siebie, „jakby ten mąż był szczoteczką do zębów, którą służy jedynie na nasz wyłączny użytek".

Zaś panie, aby nie pozostać w tyle, wyrażały również swoje poglądy, streszczające się w tem, że żona może mieć niepoprawnego wietrznika za męża, a mimo to, nie być godną pożałowania.

— Ależ wprost przeciwnie! — wykrzyknęła piękna Kamilla Eastcliff.

— Brrr! — rzekła Alma, wzdrygając się.—Czy może być coś okropniejszego, jak być związana na życie z człowiekiem wiernym do grobowej deski!

Och! jakież to wszystko było wstrętne! To też, jak mogłam, najczęściej wymykałam się z tego rozbawionego środowiska, aby odetchnąć czystą atmosferą mego własnego pokoju.

Ale i tu niezawsze udawało mi się być samą, gdyż matka Almy uparcie dotrzymywała mi towarzystwa. Była to pulchna, nizka kobiecina, obładowana zawsze klejnotami, prawie bez żadnego wykształcenia i lubiąca popisywać się haniebną francuszczyzną, w gruncie jednak dobrego serca i szczerze przekonana, że, chodząc tak wciąż za mną, spełnia dobry uczynek. Tymczasem zamęczała mnie poprostu swemi zwierzeniami o poprzednich „bytnościach" na Zamku Raa i stanowisku, jakie tu zajmowała, i o swojej więcej, niż wesołej, młodości i o pochodzeniu (była córką londyńskiego listonosza), i o tem, jak bankier Lier ożenił się z nią, by uprawnić dziecko, i jak nowojorskie damy nie chciały jej przyjmować, a ona poprzysięgła sobie, że jeszcze zatryumfuje nad niemi.

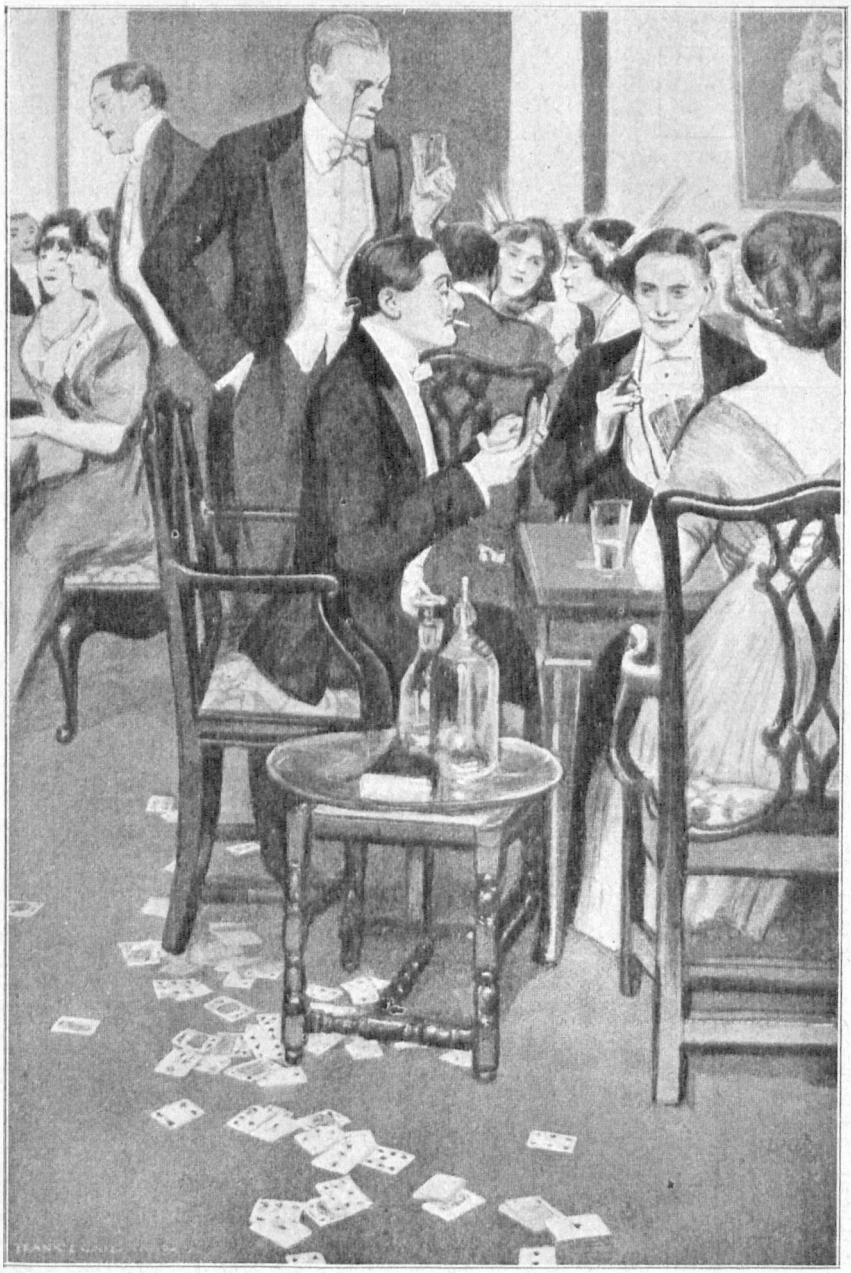

...Wieczorami za to grywali w bridża, brzdąkali na fortepianie...

— Zupełnie, jak twój ojciec, moja droga. Nigdy nic złego nikomu nie zrobiłam. Ale, jak mi zaczęto stroić miny po mojem zamążpójściu, postanowiłam sobie — właśnie, jak twój ojciec — że wydam Almę za najpierwszego z arystokracyi, choćby nie wart był szeląga i łysy był, jak kolano.

Ale przykrzejszemi jeszcze od tych wynurzeń były jej ubolewania nademną, że oto tak nie byłam podatną do prowadzenia wielkiego domu — bo skądżeby? — podczas, gdy Alma jakby się do tego urodziła: więc całe szczęście dla mnie, że mogę ją mieć przy sobie i uczyć się od niej, jak się brać do rzeczy.

— Alma ma taki ton! Takie *destengowane* maniery! — mówiła.

Wynik tego wszystkiego był taki, że upadałam wprost pod ciężarem ohydnego jarzma, w jakiem żyłam. A gdy sięgnęłam okiem w przyszłość i nie widziałam przed sobą nic, prócz tych wstrętnych kajdan, wówczas budziła się we mnie myśl, że żadne prawa kościelne ani państwowe nie zmuszą mnie do dźwigania ich dłużej.

Codziennie Price przynosiła jakieś podburzające wiadomości o Almie i moim mężu, a ja już jej nie nakazywałam milczenia. Owszem, słuchałam ją chętnie, odświeżając w pamięci ohydną scenę w Paryżu i dziwiąc się, czemu współdziałałam niejako zniewadze, nie opuściwszy w tej samej minucie mego męża.

A przytem nurtowała mnie wciąż moja tajemna miłość. Bywały chwile, że czułam się niegodną grzesznicą i uważałam moje cierpienia, jako słuszną karę niebios za moją występną namiętność; to znów buntowała się we mnie dusza wielkim głosem, wzywając wyzwolenia.

W trakcie tego czasu miałam dwa listy od Jurka. W pierwszym donosił mi obszernie o przygotowaniach do wyprawy, a słowa jego tchnęły radością człowieka, któremu życie ukazuje upragnione cele; w drugim pisał, że już wszystko skończone, i że za kilka dni przyjedzie naprzód do swoich „starych", a potem przed samem wyruszeniem na morze do mnie.

Może było to bardzo niemądrze z mej strony, ale w obawie powtórzenia sceny z Ojcem Danem (wiedząc dobrze, iż Jurek nie zniósłby jej z taką samą cierpliwością), posłałam ten list Almie z zapytaniem, czy ta wizyta będzie pożądaną, a ona zwróciła mi go, nabazgrawszy ołówkiem w nagłówku: „Ależ, oczywiście, wszystko, co *tobie* jest pożądanem, kochanko".

Zniosłam nawet to. Może zbywało mi na poczuciu właściwej dumy, myślałam jednak, że wprost nie warto rozpraszać się na drobnostki, gdy nadchodziła rzecz ważna, która wszystkich i wszystko usunąć miała z mojej drogi nazawsze.

Jurek przyjechał. W miejscowych gazetach wyczytałam, jakie mu zgotowano przyjęcie: jak zgromadzone na molo tłumy powitały go okrzykami; jak potem mieszkańcy naszej wioski, wszyscy znani mi z nazwiska, oczekiwali go na dworcu kolejowym i zaprowadzili w tryumfie do domu rodziców, i jak na wzgórzach spalono fajerwerki na jego cześć.

Czytałam to ze ściśniętem sercem, porównywując podniosłe chwile, jakie przeżywał Jurek, z temi upokarzającemi i wstrętnemi warunkami, jakie były moim udziałem. Moja miłość dla niego piekła mnie teraz, jak rozjątrzona rana, i postanowiłam, że niech się dzieje, co chce, muszę jeszcze przed przybyciem Jurka do Raa zrzucić z siebie ciężar mego fałszywego położenia.

W tym celu zamierzałam zobaczyć się z biskupem, z adwokatem mego ojca, a może i z samym ojcem, żeby tak czy inaczej rozstrzygnąć, co się wreszcie ze mną stanie. Nie miałam jednak pojęcia, jak to zrobić, mając dom pełen osób, które były nominalnie mymi gośćmi.

Los — zły los — dopomógł mi w tym razie. Dano mi znać, że ojciec mój nagle zachorował; uchwyciłam się więc tego pretekstu, by zapytać mego męża, czy mogę pojechać na parę dni do domu.

— Czemużby nie? — odparł takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „A któż cię tu trzyma?"

Alma zaś dodała:

— Ależ tak, kochanie. Brak nam tu ciebie będzie *straszliwie*, lecz to twój obowiązek... A przytem zobaczysz się z tym *kochanym* panem... Jakże się nazywa?

Wreszcie, grając swoją rolę do końca, przeprosiłam i gości, że wyjeżdżam; oni zaś, słuchając tych przeprosin, mieli takie miny, jakby chcieli powiedzieć: „Przeżyjemy jakoś ten cios".

W przeddzień mego wyjazdu, wieczorem, Price rzekła:

— Może wasza lordowska mość zapomniała, że czas mój się już koń-

czy; jeżeli jednak mylady życzy sobie, zostanę do jej powrotu.

Zapytałam ją nawzajem, czy mogłaby pozostać i nadal, na co odrzekła:

— Owszem, mylady. Mylady jest dobrą panią, chociaż trochę prędką. A jeśli mylady nie życzy sobie, bym jechała z nią do starszego pana, to i tu mogę się jej na co przydać.

Zrozumiałam, że ma na myśli rozwód, lecz nie złajałam już jej, jak poprzednio, bo i moja myśl zwracała się w tym kierunku.

Nazajutrz rano goście zgromadzili się w hallu, żeby mnie pożegnać; a gdy samochód ruszył, czułam, że patrzą za mną, uśmiechając się pobłażliwie.

Rozdział LI.

Udałam się najprzód do biskupa. Pałac biskupi znajduje się po drugiej stronie wyspy i było już koło południa, gdy mój samochód okrążył podjazd, obsadzony wysokiemi wiązami, wśród których ogromne rzesze wron sejmikowały wrzaskliwie.

Biskup był przy śniadaniu, po którem zwykle (jak mi uliberyowany lokaj powiedział) następowała drzemka. Czułam, że obrałam niefortunną porę, ale cóż było robić.

Wprowadzono mnie do wykwintnie urządzonego saloniku, o miękkich, wygodnych meblach. Na jednej ze ścian wisiał wielki portret papieża z własnoręcznym podpisem Ojca Świętego, inne okryte były wizerunkami różnych znakomitości, książąt, lordów, margrabiów i hrabiów.

Biskup wszedł niebawem, uśmiechnięty i widocznie w zgodzie z całym światem. Ubrany był, jak wówczas, w Rzymie, w czarną, elegancką sutannę o niezliczonych guzikach, w płytkie trzewiki ze srebrnemi klamrami i w ciężki złoty łańcuch, zakończony wysadzanym klejnotem i krzyżem. Tylko na głowie miał piuskę.

Przywitał mnie bardzo uprzejmie i chciał częstować jakąś przekąską, lecz podziękowałam i odrazu przystąpiłam do celu moich odwiedzin..

— Ekscelencyo, — rzekłam — mam ciężkie zmartwienie. Chodzi o moje małżeństwo.

Uśmiech znikł z twarzy biskupa.

— Bardzo mi przykro—rzekł. — Ale to chyba nic poważnego.

Odrzekłam, że, owszem, rzecz jest poważna i zaczęłam mu opowiadać, jak mój mąż nie kocha mnie, a kocha inną, i że sakrament mego małżeństwa...

— Chwileczkę! — przerwał mi biskup; i wstawszy, zamknął okno z nadmienieniem, iż wrzaski wron ogłuszają go; poczem wrócił na swoje miejsce i rzekł:

— Wiadomo ci chyba, droga pani, iż we wszystkich chrześciańskich cywilizowanych krajach istnieje jedno tylko wykroczenie, które może być uważane za istotny powód do skargi na przeniewierstwo męża. Czy masz pani realne podstawy do takiego zarzutu?

Zrozumiałam, co miał na myśli, i zaczerwieniłam się po same białka oczu. Przezwyciężywszy jednak wstyd, opowiedziałam biskupowi ową scenę w Paryżu i domysły mojej pokojówki.

— Hm! — chrząknął biskup.

Poznałam wnet, że będzie bagatelizował moje dowody. Jakoż rzekł:

— Ze strony pani tak dobrze, jak tylko pozór... A co się tyczy doniesień, pokojówki są znanemi plotkarkami.

— Ale to jest prawda — rzekłam. — Mój mąż nie zaprzeczy jej. Nie będzie mógł.

— O ile wiem, jak się zwykle dzieje w świecie, — rzekł biskup — mężczyźni w podobnych wypadkach mogą zawsze przeczyć i przeczą.

Czułam, że dłonie wilgotnieją mi pod rękawiczkami. Widocznie biskup postanowił być ślepym na to, czego nie chciał widzieć.

— Ależ ja mam słuszność za sobą, jestem pewna, że ją mam.

— Hm! Przypuściwszy nawet, że ją masz, droga pani. Cóż chcesz, żebym na to poradził?

To zapytanie stropiło mnie całkowicie. Po pewnej chwili wybełkotałam, iż przyszłam do niego dowiedzieć się, jakiej pomocy w takim wypadku udzielić mi może Kościół.

— Hm; — rzekł znowu biskup.

Skrzyżował stopy i zwolna przemówił:

— Kościół, droga pani, posiada istotnie środki łagodzące położenie w ostatecznej konieczności. Udziela separacyi, zawsze ubolewając nad potrzebą takiego kroku i wierząc we wcześniejsze lub późniejsze pogodzenie się małżonków. Ale udzielić żonie separacyi dlatego, że — wybacz, droga pani, nie mówię, że to się do niej stosuje — mąż jej się nie podoba, lub że — i znowu nie stosuję tego do pani — że wyobraża sobie, iż ktoś inny podoba jej się bardziej...

— Ekscelencyo, — przerwałam, czując, że krew bije mi do twarzy i że mi się zaczyna mącić w głowie— nie poruszajmy kwestyi separacyi. Ja mam na myśli coś o wiele bardziej stanowczego.

Nie zapomnę nigdy wyrazu twarzy biskupa. Poprostu — osłupiał.

— Droga pani! Nie masz chyba na myśli rozwodu?

Schyliłam głowę milcząco; a wówczas biskup surowym i nakazującym tonem począł mnie strofować, pytając, azali nie wiem, że katolicki Kościół pod żadnym pozorem nie uznaje rozwodu, i czy zapomniałam, co mi sam Ojciec Święty na audyencyi w Rzymie powiedział, że jeżeli wstępuje w święty związek małżeński, powinnam to czynić z całą świadomością, iż związku tego nic, prócz śmierci, rozerwać nie może.

— Gdyś poślubiła twego męża, droga pani, związałaś się z nim nie tylko aktem własnej woli, lecz tajemniczą potęgą, z pod której żadne z was nigdy wyswobodzić się nie zdoła. Ta potęga, która was złączyła, jest Bóg, a co Bóg połączył, tego człowiekowi nie rozłączyć!

Chyliłam głowę coraz niżej. Biskup mówił to, czego mnie zawsze uczono, a o czem w mojem udręczeniu i piekącym ogniu pokusy zapomniałam.

— Prawo cywilne może i udzieli pani rozwodu — ciągnął dalej biskup. — Tego nie wiem i nic o tem powiedzieć nie mogę. Ale taki rozwód nie ma żadnego znaczenia wobec Boga i Kościoła, bo żadnemu prawu nie przysługuje moc unicestwienia tego, czego sam Pan Bóg dokonał.

Och! jakież to było okrutne! Uczułam wówczas, jakgdyby żelazne kraty więzienia zatrzaskiwały się za mną, jakgdyby mnie zakuwano w kajdany.

— Ale gdyby nawet cywilne prawo *mogło* udzielić pani rozwodu i udzieliło go, — ciągnął dalej biskup — pomyśl o krzywdzie i zniewadze, jaką wyrządziłabyś Kościołowi! Małżeństwo pani było tak zwanem małżeństwem mieszanem, a Kościół nie sprzyja podobnym związkom; przystał nań dla pani, ale czemu? Bo tuszył sobie, że zbłąkany ród wróci w drugiem pokoleniu na Jego łono. A pani co byś uczyniła? Nie czekając na to drugie pokolenie, unicestwiłabyś Jego nadzieje.

Śmiertelny chłód zmroził mi serce. A więc biskup myślał tylko o straconej sposobności, a nie o cierpiącej kobiecie, która otworzyła mu swą zranioną i krwawiącą duszę!

Powstałam. Biskup powstał także i zaczął mi doradzać przebaczenie.

— Choćby cię nawet spotkała krzywda, droga pani, — mówił — nie powiadam, żeś jej nie doznała,— czyż nie możesz jej przebaczyć? Pomnij! Przebaczenie jest cnotą boską i nakazaną nam wszystkim, a zwłaszcza kobiecie względem mężczyzny, którego poślubiła. Tak jest! Pomyśl pani tylko! Ileż to kobiet musi uprawiać ją codziennie na całym świecie!

— Ach, tak! — rzekłam i skierowałam się ku drzwiom.

Biskup odprowadził mnie, upominając wciąż, bym, jako dobra córka Kościoła, żyła w pokoju z moim mężem, pomimo jego przewinień, a gdy Bóg ześle mi dzieci (co oby się stało), bym „wpajała w nie prawdziwą wiarę z macierzyńską tkliwością i gorliwością“, aby cel mego małżeństwa osiągnięty został i dziedzictwo Zamku Raa przypadło znów dobremu katolikowi.

— Więc Kościół nic dla mnie uczynić nie może? — zapytałam.

— Może się tylko modlić, droga pani, — odpowiedział biskup.

DCN.